

# JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

HRABINA COSEL, TOM  
DRUGI

Józef Kraszewski

**Hrabina Cosel, tom drugi**

«Public Domain»

**Kraszewski J.**

Hrabina Cosel, tom drugi / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

## Содержание

Том II	5
I	5
II	12
III	18
IV	26
Конец ознакомительного фрагмента.	27

# Józef Ignacy Kraszewski

## Hrabina Cosel, tom drugi

### Tom II

#### I

Gdy król w Warszawie z nudów i za rozkazem pani Przebendowskiej składał hołdy Denhoffowej, odegrywającej komedią pod dyktowaniem daleko od niej zręczniejszej matki, Cosel jak osłupiała, zaledwie wstawszy ze słabości odbytej, słuchała codzień doniesień, któremi ją z Warszawy karmiono. Flemming starał się o to, ażeby była o wszystkim zawiadomioną... A że król obawiał się zazdrości jej i gwałtowności charakteru, otoczono ją szpiegami, którzy każdy krok, myśl i słowo pilno postrzegać mieli...

August rad się był jej pozbyć, chciał razem uniknąć rozgłosu i wrzawy; żałował czasami pięknej Cosel, ale nadto był słabym, bałamutnym, żeby się osnutęj oparł intrydze. Świeże twarze robiły z nim co chciały, bawiła go nowość i po raz setny rozpoczynane też same amory, które się zawsze kończyły dla niego uśmiechem i ziewaniem, dla tamtych łzami.

Przykład Königsmarck, Teschen, Spiegel, Esterle, które się potrafiły pocieszyć i znalazły pocieszycieli, uspokajał go co do Cosel, chociaż widział on sam wielką między tamtymi a nią różnicę. Wszystkim im mógł jakąś słabość zarzucić, tej żadnej; ale Cosel groziła królowi odebraniem życia, potem sobie: pogrożka jej nie była czczem słowem. Można się jej było obawiać. Nakazano więc w Dreźnie mieć oko na Cosel i wszelkie jej kroki; lękano się ażeby nie chciała przybyć do Warszawy: Flemming znał słabość króla, bo sam z niej korzystał, dysgracyonowany gwałtem przybywszy doń i odzyskując dawne stanowisko. Ukazanie się Cosel, jej piękność, wyższość, władza nad królem, wszystko zniszczyć mogły i obalić.

Wielkiemu marszałkowi Löwendhalowi szepnięto by szczęścia probował. Cosel miała klejnoty, dobra, domy, i była jeszcze młodą i piękną... Szło zresztą o to, aby jej zarzucić niewiarę.

Jednego poranku Haxthausen przyjaciel hrabinę zastał ją we łzach i płomieniach, podbiegła ku niemu łamiąc ręce oburzona:

– Uwierzyłyżebyś pan – zawołała – ten niegodziwiec, ten nikczemny, który mi wszystko jest winien, Löwendhal, w tej chwili śmiał mi swą miłość oświadczyć.

Złajałam go jak podłego człowieka, zagroziłam mu że do króla napiszę, i ma szczęście że policzka nie dostał.

Haxthausen zaledwie mógł ją uspokoić, drżała z oburzenia i gniewu, a łzy się jej z oczów toczyły.

– A! przed kilku miesiącami – rzekła – nie śmiałyby był uczynić mi tej obelgi.

Krok ten Löwendhala był jakby znakiem dla hrabinę, że jej godzina wybiła. Słyszała już o Denhoffowej, a znano ją tu i całą rodzinę z dawnych jakichś głośnych przygód po świecie.

– Królewskie listy – odezwała się do Haxthausena – znacznie zmienione. Słyszałeś co pan o Denhoffowej?

– Mówią o tém – rzekł Haxthausen.

– W jakież błoto go wciągnięto! – zawołała smutnie i zamilkła.

Flemming który całą sprawą kierował, powrócił do Dreznia; król mu polecił pozbyć się z wolna hrabinę, ale postępować z jak największą względem niej delikatnością.

Przybycie jego zrazu przeraziło Cosel, lecz po kilku dniach przekonawszy się iż przyjechał w usposobieniu wcale odmienném i unikał wszelkiego powodu do zajść nowych, uspokoiła się nieco.

Czarodziejski pałac czterech pór roku, król chciał mieć wolnym; szło o to ażeby hrabina ustąpiła z niego, jeśli można dobrowolnie.

Posłano z tém łagodnego Haxthausena, który smutne swe i ciężkie poselstwo sprawił z jak największym poszanowaniem i względami dla hrabiniej. Z wielkiem podziwieniem jego, Cosel odezwała się:

– Król mi go dał, więc i odebrać może. Miejsce to nadto mi lepsze czasy przypomina, ażebym wyżyć w niém mogła: wyniosę się chętnie.

W tej chwili wydano rozkazy, spakowano rzeczy, najęto dom przy Moritzstrasse i w kilka dni hrabina przejechała na nowe mieszkanie.

Tu już pusto było zupełnie, dworacy szczęścia i żebracy łask opuścili ją wszyscy. Wiadomość o wygnaniu hrabiniej z tego raju napełniła nieprzyjaciółki jój radością. Był to znak nieochybny zerwania. Cosel jednak nie wierzyła w nie, przed swemi poufałami powtarzała że jest żoną, i że król opuścić jój nie może. Jeszcze w roku 1705, August w chwili gdy był rozkochanym w niej, darował piękną wioskę u brzegu Elby, Pillnitz; Cosel miała tu dom i ogród u brzegu rzeki, gdzie czasem w skwary letnie po kilka dni spędzała...

Położenie było piękne: las i drzewa otaczały ją dokoła, góry osłaniały od północy, u stóp pałacyku płynęła Elba, wśród której gęstemi krzewy zarosła wyspa, jak kłęb zielony, jak kosz pełen kwiatów przeglądała się w wodach. Lecz godzin kilka dzieliło Drezno od Pillnitz, i pusto było dokoła.

Król coraz bardziej wymagający napisał do Flemminga, iż chce swój Denhoffowej Drezno i jego wspaniałości pokazać, nie życzy więc sobie ani dla Cosel by się z nią spotkała, ani dla niej by na porywczosć hrabiniej narażała się; trzeba było skłonić Cosel do opuszczenia Drezna i zamieszkania w Pillnitz.

Haxthausena używano zwykle do tych układów, których Flemming dla uniknięcia waśni nie podejmował się osobiście; zaproszono więc przyjaciela domu i generał pokazał mu pismo królewskie, zalecające Cosel z Drezna wyprawić.

– Zmiłuj się pan – rzekł grzecznie – pomóż mi; król chce przybyć do Drezna, a nie będzie mógł tego uczynić dopóki Cosel jest tutaj. Denhoffowa mówi mu ciągle że z życia nie będzie pewna, póki nieprzyjaciółkę tu czuje. Samemu królowi tylekroć groziła hrabina pistoletem, że i król radby ją widzieć gdzieindziej: jak wiecie, nie lubi on spotkać się z temi, których dotknął lub obraził.

Wiem że Cosel ma mnie za wroga: nie byłem nim nigdy, dodał Flemming; rozgniewała mnie chwilowo, dziś to zapomniane. W położeniu w jakim się ona znajduje, uchybiłbym jój nie chciał, ani przyprowadzać ją do ostateczności. Idź pan, skłoń ją, niech dobrowolnie Drezno opuści, abym niepotrzebował słać do niej rozkazu, coby jój większą uczyniło przykrość.

Haxthausen wysłuchawszy tych słodkich wynurzeń Flemminga, poszedł.

Cosel była w dość dobrym humorze. Haxthausen zaczął od żarcików:

– Wiész pani – rzekł – iż się nie mogę wydziwić złemu gustowi króla, który uchodził dotąd za człowieka wytwornego smaku. Nie znam pani Denhoff, ale z tego co o niej wiemy, zdaje się iż ta fantazyja prędko przejdzie. Czasem po białym chlebie zachciéwa się spleśniałego razowego, ale po kilku kąskach do pierwszego się powraca.

Tak samo pewien jestem, że pani wrócisz z chwałą na dawne stanowisko, bylebyś nie chciała króla drażnić i zniechęcać ku sobie.

Cosel domyśliła się że przychodził z jakimś poleceniem.

– Czy znowu jaką wolę królewską mi pan przynosisz, obwinięta w tę bawełnę pochlebstwa?

Haxthausen popatrzał smutnie i głową dał znak że tak było w istocie.

– A więc mów pan...

– Byłem u Flemminga – rzekł – pokazał mi rozkaz króla, który chce byś pani na czas pobytu jego tu z Denhoffową wyniosła się do Pillnitz. Sądzę że to i dla pani samój będzie przyjemniejszym, niż patrzeć...

Łzy stanęły jój w oczach: spuściła oczy.

– A! tak mi trudno! tak trudno! – zawołała cicho. – Wiem żeś mi pan życzliwym, że w jego słowach niema zdrady, a tu jęć się od wszystkich i wszędzie obawiać potrzeba; jednak, nie wiesz pan ile mnie to kosztować będzie.

Zaczęła chodzić po sali zakrywając chustką oczy. Dawna gwałtowność i gniewy opuściły ją, płakała i chciała się ze łzami przed obcym okiem osłonić, potem otarła je żywo.

– Widziałeś pan sam ten rozkaz króla, nie zmyślili go oni...?

– Daję pani słowo, widziałem go.

Rumieniec wystąpił na twarz, gniew powrócił.

– Nie znają mnie – zawołała – drażnią, aż do wściekłości przyprowadzą, aż do okrutnej, szalonej zemsty obudzą. Wiedząż oni do czego ja dojść mogę gdy raz gniew mną owłada? Myślaż że poszanuję ich, jego nawet, tego człowieka który sądzi że mu korona daje prawo urągać się uczuciom i pomiatać ludźmi?

Haxthausen słuchał milczący.

– I to wszystko – dodała – spotyka mnie dla jednej Denhoffowej, której ulubieńców na palcach liczą wszyscy, bo się nie kryła wcale z niemi..! Prawdziważ godna ulubienica dla króla... Chcieli go więc poniżyć i zbezczęścić dając mu taką kobietę. O! ci ludzie, ci ludzie...

I znów płakać zaczęła.

– Mogłażem się tego spodziewać? jakże nie miałam wierzyć mu – mówiła łkając – przysięgał mi, był dla mnie najczulszym, miałam jego serce; poświęcał mi co miał najdroższego: nie wahał się uznawać mnie przed światem, tyle lat szczęścia... spokoju ukołysały serce, uwierzyłam, byłam przyszłości pewną. Trzy kolebki łączyły nas z sobą, kochał swe dzieci, dał im imię swoje, nie wstydził się słabości dla mnie? Jam go kochała, on mi nic wyrzucić nie może; byłam mu wierna: jednego wejrzenia nie rzuciłam na nikogo, serce mi nie uderzyło, prócz z trwogi o niego? Życie, obyczaj, wszystkim zastosowała do jego upodobań, służyłam mu jak niewolnica. A dziś, dziś, po latach tylu, mamże go stracić, pozostać sama, sierotą, bez opieki, bez słowa pożegnania, bez wyrazu współczucia! A! ten człowiek niema serca.

Serca? – zaczęła śmiejąc się – nigdy go nie miał: rozpieszczone dziecko szczęścia, ze wszystkiego robi sobie zabawkę tylko, igra z ludźmi, z uczuciami, z tém co dla innych święte, a co dla niego rozrywką jest i śmiechem.

Ale któż kiedy pochwali się że znał tego człowieka – dodała – jak aniół dobry, umieć być jak szatan zimnym i bezlitośnym; w pocałunku kryje nienawiść, w uśmiechu ostatnia zemsta: słowa mu z ust płyną słodczy pełne, aby uspiły ofiarę.

Reszta świata zda mu się stworzoną na to, aby miał o co oprzeć nogi i usnąć wygodniej, a gdy mu spokoju trzeba, gotów pozabijać żywych by mu się z pod stóp nie ruszyli.

Oczy jęć mówiąc gorzały, Haxthausen słuchał nie śmiejąc przerywać, przejęty tą wymową gorczy pełną.

Pół godziny trwały te wybuchy namiętne, coraz zmieniając ton; na ostatku znużona padła, ale znać było gorączkę, która ją trawiła. Umilkła.

– Pani! – odezwał się poseł – któżby się mógł dziwić twemu gniewowi: jest on naturalnym i dowodzi serca. Nie możesz pani wątpić iż ja pragnąłbym innego ci losu oznajmienie przynosić; lecz jestże środek zaradzenia temu? W téj chwili nie ma innego nad cierpliwość i ostrożność, ażeby sobie drogi do powrotu nie zamknąć. Znasz pani najlepiej zmienny umysł króla: nikt nigdy nad nim tak długiego i stałego nie wywierał wpływu. Możesz go pani odzyskać, trzeba dziś myśleć o jutrze i dlań się zachować.

– Radźże mi, radź, mój dobry, jedyny przyjacielu! – odezwała się wzruszonym głosem do Haxthausena.

– Ale mi pozwól pani być szczerym – rzekł poseł.

– Mów otwarcie.

– Flemming jest dla pani jeśli nie zmienionym, to przynajmniej lepiej, łagodniej, względniej usposobionym, niż był kiedykolwiek; trzeba go w tém usposobieniu utrzymać. Któż wie? na dworze zmienia się co chwila wszystko: możesz mu pani być potrzebną. Jeżeli dziś zachowasz się łagodnie, król będzie wdzięczny i uczuć się może wzruszonym. Straszono go ciągle odgrózkami pani, pistoletami, zemstą, gniewem... Nieprzyjaciele jój mieli je ciągle na ustach. Król sam zaczął się obawiać, a Denhoffowa nie odważyła się ruszyć do Dreżna, lękając się o życie. Dopóki król sądzić będzie, że pani jesteś tak rozdrażnioną, nie zbliży się do niej nigdy. Najlepszą więc rachubą jest okazać się łagodną.

Masz pani przykład na hr. Königsmark – dodał – potrafiła ona łagodnością swą zachować stosunki przyjaźni z królem i z ks. Teschen pozwolono jój zostać w Dreżnie, widywać go; gdy przeciwnie Esterle swym uporem zamknęła sobie wstęp do dworu.

– Ale jakże mi pan śmiesz – zawołała gniewnie – stawić takie przykłady. Esterle! Königsmark! to były metresy króla: ja jestem żoną jego!.. nie równaj mnie pan z niemi...

Haxthausen zamilkł.

– Zresztą masz pan słuszność, nie chcę go gniewać; chcę się okazać łagodną i posłuszną: pojedę jutro.

Już poseł miał wstać uradowany, aby odejść z tą dobrą nowiną, gdy Cosel wybuchnęła nagle, uderzając nogą.

– Nie będą śmieli zmusić mnie do tego; król sam nie odważy się na to... to nie może być! nie! nie!

Haxthausen począł ją łagodzić, uległa mu... ale zaledwie ją przekonał o potrzebie powolności, wracała do oporu i burzyła się.

Trzy czy cztery razy zmieniała zdanie; naostatek znużonemu już tą walką Haxthausenowi powiedziała:

– Nie pojedę; zostanę: niech gwałtu użyją... jeśli się ośmielą.

– Namyśl się pani, na Boga; proszę panią.. cóż powiem Flemmingowi.

– Powiedz mu pan, że jechać nie chcę.

Nie było co robić, baron poszedł do generała z tą smutną nowiną i opisem całej swój rozmowy.

Flemmingowi przykro było, że łagodnym sposobem nic nie mógł uczynić: siły widocznie użyć nie chciał. Po długich namysłach, prosił Haxthausena, ażeby raz jeszcze poszedł do niej.

Baron miał siostrę niezamężną Emilię, która przy nim mieszkała, osobę poważną i łagodnego charakteru; tym razem nie poszedł sam, wziął ją z sobą. Oboje starali się w ciągu kilku godzin przekonać ją, iż nic nie traciła na łagodności, a mogła buntując się szkodzić sobie.

Cosel to się godziła i przystawała, to znowu oburzała na ten bezduszny despotyzm. Trzy razy wychodzili już, mając jój słowo, że odjedzie dobrowolnie, i za każdym odwoływała ich ode drzwi.

Widocznie rachowała i ważąc wszystko, nie mogła być pewną, co dla niej lepszym być może.

Flemming dowiedziawszy się o tém, że hrabina ostatecznie odmówiła, dał jój jeszcze dwa dni do namysłu.

Trzeciego dnia pojechał do niej.

Zameldowano go hrabinie, która wyszła w czarnej sukni z zapłakanymi oczyma, ale z postawą dumną.

Flemming przedstawił się jój z całą etykietą dworską i chłodem wytrawnego dyplomaty.

– Stawiasz mnie pani w najprzykrzejszym w świecie położeniu – rzekł spokojnie – im pewniejszy jestem, żeś mnie pani liczyła do nieprzyjaciół, tém mocniej usiłowałem jój oszczędzić przykrości; wstrzymałem rozkaz króla kilka dni: przynoszę go pani. Jeśli nie zechcesz usłuchać, nie będę winien, iż zostanę zmuszonym spełnić go, w jakikolwiekby sposób. Jest to rozkaz pana mego. Król jest w drodze i nie chciał pani zastać w Dreżnie.

Stojąca przy oknie Cosel, zobaczyła oddział konny trabantów, który przed jój mieszkanie nadciągnął i ustawił się w ulicy; błysnęły jój oczy czarne, ale się pohamowała.

Spojrzała na list.

– Jadę natychmiast! – rzekła z lekkim ukłonem – możesz pan zaufać słowu mojemu.

Flemming schował list, ukłonił się i wyszedł, trabanci pojechali za nim.

W godzinę potem, hrabina Cosel, płacząc ukryta w powozie, jechała do Pillnitz. Wszystko to dokonało się wprzód, niżeli król wyjechał z Warszawy. Jakkolwiek płocho i bez czucia, nie chciał on zerwać z hr. Cosel, nie okazawszy jój pewnych względów, należnych po tylu latach pożycia; niepokoiło go to, iż nie miał powodu do zerwania, że okaże się winnym, nie mogąc z jój strony znaleźć winy.

Gdy Löwendahlowi tak się nieszczęśliwie powiodło w oświadczeniach miłości, wyprawiono do układow jakichś Watzdorfa i usłużnego, ale niezgrabnego van Tinen, którego król używał ale nie cierpiał.

Watzdorf, niemniej wstrętliwy Augustowi, zwany chłopem z Mansfeldu przez niego, był grubianin i niezgrabny.

Watzdorf na dworze nie wiele znaczył, ale Flemming go bronił i nim się opiekował. Jednego dnia, gdy się go najmniej spodziewać mogła hrabina, zjawił się w Pillnitz.

Jedyną jego wymówką, że się znaleźć nie umiał i z hałasem zaraz wpadł do domu kobiety, której się już nie lękał, było to, że przybył pijany. Podróż od Drezna wcale go nie wytrzeźwiła; polecono mu układy z hr. Cosel, wystawiał więc sobie, że mając losy jój w ręku, mógł pozwolić sobie, co się podoba.

Już po wnijsciu do pokoju bez oznajmienia, poznała hrabina chłopca z Mansfeldu.

– Kochana pani – zawołał śmiejąc się od progu – jestem posłany przez króla J. M., powinnaś mi pani być rada. Przywożę jój doskonale nowiny. Król, któryby mógł i nic pani nie dać i w żadne targi nie wchodzić, jako pan miłościwy, życzy sobie rozstać się z zobopólném zadowoleniem i zgodą: słyszy pani?

– Słyszę panie hrabio, ale nie rozumiem – dumnie rzekła Cosel.

– A jaka zawsze śliczna! – dodał Watzdorf, zbliżając się i ujawszy najprzód rękę; namyślił się, nagle podniósł głowę znajdując iż lepiejby w twarz pocałować.

Ale nim to mógł spełnić, Cosel cofnęła się krok i swoim zwyczajem głośny, silny, piękną rączką dała mu policzek.

Watzdorf stał chwilę zdumiony.

– To tak? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała Cosel pokazując mu na drzwi; król powinien był wiedzieć, że takiego gbura za posła do mnie nie godziło mu się wybierać.

Watzdorf potarł się tylko po twarzy i zamilkł, położył kapelusz i został.

– Niech to idzie w zapomnienie – rzekł – ja nie jestem mściwy, a zresztą, policzek z tak pięknej rączki nie bezcześci... owszem...

Chłop z Mansfeldu został nawet potem na obiedzie i usiłował sprawić swe poselstwo, ale w sposób najniezgrabniejszy w świecie; obiecywał bowiem hrabinie najświetniejsze warunki, wymagając jój serca.

Rozśmiała mu się w oczy i pojechał wytrzeźwiony jak zmyty.

Cosel chciała się skarżyć listownie królowi na Watzdorfa i Löwendahl'a, odradzono jój to: Watzdorf zajmował się naówczas finansami, dostarczał pieniędzy: walka z nim była trudną.

Nasłano później van Tinen'a, o którym na dworze rozpowiadano, że się w niej szalenie kochał, a Cosel go dosyć znosiła, ale van Tinen życzliwszy dla niej, nienawistny był królowi; pozwalał sobie zbyt wiele... dawał mu rady mentorskie i zniecierpliwiał go do tego stopnia, iż król, który po trzeźwemu go znosił, wieczorem raz o mało go własnymi rękami, a raczej nogami nie zabił.

Vitzthum, który doskonale znał temperament króla i jego usposobienie dla osób na dworze się znajdujących, spotkawszy van Tinen'a na progu pokoju, w którym August siedział już po wielu kielichach, przestrzegł go, żeby nie wchodził. – Król nie lubi cię: nie włącz mu w oczy.

Van Tinen nie usłuchał dobrej rady, wszedł: August się skrzywił. Po chwili van Tinen ośmielony, począł rozprawiać; król milcząc odwrócił się od niego: ten zaszedł z drugiej strony, wlaź pod samą rękę olbrzyma, który milcząc patrzył nań z góry. Przytomni, widząc jak oczy Augusta błyszczały, radzi byli ostrzedz nieopatrzności, który się zdawał wyzywać niebezpieczeństwo.

Król jakiś czas nie mówił słowa, oddychał ciężko, słuchał szczebiotania natrętnego, nareszcie zaczął coś mówić; van Tinen przerwał: król zamilkł. Po chwili odezwał się znowu i jeszcze raz wpadł mu ze słowem van Tinen. W tej chwili, jak dzik rozżarty król, zwrócił się ku niemu; ten zaczął się cofać. Szli tak, jeden następując coraz bliżej, drugi cofając coraz bojaźliwiej do kąta gabinetu. W chwili, gdy van Tinen oparł się jak trup błądy o ścianę, król chwycił go za kołnierz, rzucił nim na posadzkę i począł go bić nogami, tak że zbitego na miazgę, słudzy porwawszy bez zmysłów już leżącego, na łóżko ponieśli i o mało życiem głupstwa swojego nie przypłacili.

Na żadnym z tych ludzi, nie mogąc zdobyć król nic, coby Cosel obwiniało, zasłyszał wreszcie plotkę, że tajemną intrygę miała z bratem Lectereine'a, który był uszedł za granicę. Posłano po niego, wdano się w targi, aby niewinną oczernił, ale i to się nie powiodło.

Chciano obwinieniem poprzedzić przybycie króla do Drezna, aby mieć powód do znęcania się nad upadłą.

Postępowanie to mogło ją goryczą napęlić i do rozpaczki przyprowadzić; mogła się czuć obrażoną na króla, który dozwalał ją dręczyć i nasyłał takich ludzi.

Jednego dnia dowiedziano się w Dreźnie, że Cosel znikła z Pillnitz. Była na drodze do Warszawy. Na złamanie karku poleciały listy kresami wysłane, aby o tém oznajmić marszałkowej. Natychmiast zwołaną została rada familijna: trwoga była niezmierna. Przybycie Cosel mogło tę całą tak szczęśliwie osnutą komedię, zmienić na tragiczny dramat.

Król już był zakochany, a raczej opłątany przez te panie. Ułożono dlań scenę nową.

W godzinie o której król zazwyczaj przybywał w odwiedziny do pani Denhoffowej, ubrana czarno, z włosami rozpuszczonemi, siadła piękna zalotnica na łóżku, z chustką do otarcia łez, których na oczach nie było, ze wzrokiem wlepionym rozpaczliwie w ścianę. Matka i siostra uznały tę pozę piękną i wielce efektową.

Gdy król wszedł, udała że go w rozpaczki swęj zagłębiona, nie postrzega.

– Cóż ci to jest piękna pani! – zapytał król troskliwie!

Denhoffowa udała że się z płaczu zanosi, oczy suche kryjąc w chusteczce, a grała tę scenę obmyśloną z talentem wielkim. Rozczulony August począł piękne rączki całować, domagając się łez przyczyny.

– N. Panie – odrzekła patetycznie Denhoffowa – zagrożona jestem zgonem! Ja tego nie przeżyję! A! umrzeć byłoby niczém, gdybym do grobu poniosła choć to przekonanie, że mi serce wasze zostało... ale... niestety... ludzie chcą mi z życiem wydrzeć razem serce twoje! Pani Cosel jedzie, przybywa do Warszawy... może się już tu znajduje... może już zguba moja została poprzysiężoną, może ty królu przybywasz tylko aby mi oznajmić że mi powinna ustąpić szczęśliwej rywalce...

– Ale cóż pani śnisz – przerwał król zdziwiony – zkaż to wszystko, mógłbym ja panią zdradzić? Nie, pani, nierozzerwane węzły łączą nas, twój charakter pełen słodczy, twa dobroć dla mnie, są rękojmią że ci nigdy żadna Cosel szkodzić nie może.

– A! panie mój – ciągnęła dalej Marynia – bogdajby to co mówisz prawda było, bogdajbyś mi odpłacał miłością tak szczerą jaką ja mam dla ciebie. A! umrzeć dla mnie jest niczém, ale cię utracić to nad siły... wyrzec się życia prędkiej mogła, niż tego szczęścia które mi się uśmiechało! Królu, jeśli mnie kochać przestaniesz, weź to życie: nie chcę go więcej.

– Ale moja droga hrabino – odparł król – byłoby z méj strony niegodziwością takie wyznanie, tak słodkie wyrazy z ust twych, niewdzięcznością zapłacić.

– Dzięki ci panie, za tak słodką nadzieję – mówiła ciągle Marynia – mimo to ja się uspokoić nie mogę, trwoga mną owłada... Ta nieznośna rywalka zbliża się... będziesz ją widzieć, pochwyti znowu tę władzę nad sercem pana mego, którą tak długo zachować umiała.

– Czegóż się pani dręczysz – przerwał król troszkę niecierpliwie – jakimże ją sposobem uspokoić mogę... Owszem, pozwól niech Cosel przyjedzie, odniesiesz tryumf nad nią.

– Nie, nie! – zawołała Denhoffowa – jeśli Cosel ma tu przybyć, ja opuszczam Warszawę; ta kobieta targnąć się może na mnie, najniegodziwszego gwałtu dopuścić.

Marszałkowa matka w czasie tej rozmowy stała podedrzwiami, gotowa wniść gdy znak usłyszy; Marynia kaszlnęła.. drzwi się otwały i weszła udając zdziwioną i niewiedzącą zupełnie że król się tu znajdował.

– Bardzom szczęśliwy że panią widzę – zawołał król wstając – chodź pani i pomóż mi uspokoić córkę swą, która mnie obraża posądzeniami nie słusznymi.

– Ale o cóż idzie, N. Panie?

Marszałkowa udawała zdumioną.

– Wszak podejrzenia i zazdrość są dowodami przywiązania – dodała żywo. – Nie powinno to W. K. Mości obrażać.

– Posłuchajże pani...

Tu król opowiedział wszystko... Marszałkowa słuchała go, dziwnie spoglądając na córkę to na niego; minę miała skłopotaną.

– Przebaczysz mi W. K. Mość – rzekła po chwili – ja się córce mojej nie dziwuję wcale. Wiadome są całemu światu pogrożki hr. Cosel, znany jest gwałtowny jęj charakter. Wszak śmiała grozić wam nawet N. Panie!

– A więc – przerwał August – o co idzie? dla waszjęj spokojności, wydam natychmiast rozkazy, ażeby panią Cosel zwrócono z drogi do Drezna.

Na to marszałkowa składając ręce, wykrzyknęła przejęta wdzięcznością:

– Szczęśliwą możesz się nazwać Maryniu kochana, mając tak troskliwego o twój spokój opiekuna.

A po namyśle dodała:

– Ośmielam się uczynić jeszcze uwagę, że pani Cosel, łaskami W. K. Mości uzuchwalona, nie łatwo kogo posłucha, należałoby kogoś wyprawić... kogoś takiego, coby umiał...

– Wybierzcie panie kogo chcecie! – zawołał król trochę tą sceną znudzony.

Zaczęto dziękować i rozpadać się przed N. Panem, okazującym tyle dobroci, tyle troskliwości.

Marszałkowa miała już gotowego do tej wyprawy człowieka. Był to Francuz Montargon, przybyły z ks. Polignac'iem do Polski, który tu przy Bielińskich pozostał i wyrobił sobie tytuł szambelana J. K. Mości. Różnie mówiono o jego stosunkach z tym domem...

Montargon znalazł się w pół godziny, gotów na rozkazy króla, który mu polecił stanowczo zawrócić z drogi hrabinę Cosel.

– A jeśliby rozkazu W. K. Mości usłuchać nie chciała? – spytał Francuz – w takim razie co mam uczynić?

Król stał chwilę zamyślony, wyraźnie kosztowało go to do czego został zmuszony.

– Dam waćpanu w pomoc La Haye podpółkownika moich kawaler-gardów, i sześciu gwardzistów, zdaje mi się że to już wystarczy powinno.

Nie tracąc czasu posłano po pana La Haye, który z ust króla samego otrzymał dobitne rozkazy, i tjęże nocy oddział wysłany przeciwko jednęj kobiecie bezbronnęj, wyruszył z pośpiechem nadzwyczajnym, gościńcem który wiódł z Warszawy do Drezna.

A jak czułe były podziękowania, i jak wielka potęm radość z odniesionego tryumfu!!.

## II

Hrabina raz postanowiwszy widzieć króla i sama w obronie swój stanąć przed nim, z małym dworem wybrała się w drogę chcąc pospieszyć tak, ażeby ją wiadomość o wyjeździe nie poprzedziła. Nie opuszczający jej nigdy wierny Zaklika towarzyszył w tej podróży. Cierpiał on niewymownie nad losem swój pani, ale w naturze jego było milczyć tém uparciej, im więcej bolał... Blady, wychudły, zczerniały, jechał przy wozie, spełniając rozkazy, niemy a zły.

Przed wyjazdem z Drezna, Cosel kazała go zawołać do gabinetu.

– Wszyscy mnie opuścili – odezwała się – nie mam nikogo, na kogobym liczyć z pewnością mogła.

Spojrzała nań: Zaklika stał chmurny.

– Czy i wy mnie porzucicie?

– Ja? nigdy! – rzekł krótko.

– Zdaje mi się że na wasz szlachetny charakter i poświęcenie dla mnie rachować mogę.

– Zawsze – odpowiedział uroczyście Zaklika, dwa palce podnosząc do góry jakby przysięgał.

– Chcę wam to co mam najdroższego powierzyć – odezwała się zniżając głos Cosel – powiedzcie mi, zaręczcie że chyba z życiem stracie to co wam dam do przechowania, że nie dacie sobie tego wydrzec siłą, że mi będziecie strzedz mego skarbu, honoru mego jak...

– Jak relikwii – rzekł Zaklika znowu rękę podnosząc – niech pani będzie spokojną...

– I nie trzeba by żywa dusza wiedziała o tém co złożyłam w waszych rękach.

– Każe mi pani przysiąc?

– Wierzę słowu.

Trzeba jednak byś wiedział co masz strzedz. Mówiłam, będziesz stróżem honoru hrabiny Cosel. Gdy król mnie rozdzielił z mężem, dostałam na piśmie z pieczęcią jego przyrzeczenie że po śmierci żony mnie poślubi, że wejdę w prawa małżonki. Inaczej nie zgodziłabym się nigdy na takie życie. Teraz usiłować będą mi wydrzec to przyrzeczenie, którego złamanie króla okrywa sromotą; mogą się targnąć na mnie, ale ust mi nie odemkną, ale mnie torturami nie zmuszą do wydania gdzieś to pismo złożyła. Zamurować je? mogą mnie wygnąć; zakopać? mogą mnie oddalić: na sobie nosić nie jestem pewna.

To mówiąc Cosel otwarła szkatułkę hebanową, sadzoną srebrem i kością słoniową, ze szkatułki dobyła pudełko złote, a z niego woreczek skórzany opieczętowany ze sznurem jedwabnym.

– Ty mnie nie zdradzisz? – odezwała się patrząc mu w oczy.

Zaklika upadł na kolana i lży mu spadły na wąsy, pocałował podaną rękę, pochwycił oglądając się woreczek który złożył prędko na piersiach i odezwał się głosem stłumionym:

– Chyba z życiem go utracę.

Cosel prędko zamknęła szkatułkę.

– Jedziemy w drogę – dodała – nie wiem co się w niej przytrafić może, a może zdarzyć się i najmniej spodziewane i najgorsze, trzeba byś miał pieniądze zawsze.

Dała mu zielony worek ze złotem.

– Do rachunku – rzekł Zaklika.

W kilka godzin potem Cosel z nabitemi pistoletami, które ją nigdy nie opuszczały, ruszyła w drogę.

Podróż aż do Widawy, małej miejsciny na pograniczu Szlązka, szła szczęśliwie i szybko. W Widawie musiano się zatrzymać dla spoczynku, hrabina znużona kazała robić obiad naprędce i zajęła najlepszą, prawie jedyną gospodę. W drugim jej końcu stało dziesiątek koni jakiegoś oddziału trabantów, który jak się domyślano, do Saksonii musiał powracać. Zaklika straż pełnił u drzwi. Montargon i la Haye zjawili się przed nim, prosząc aby ich zameldował hrabinie, którą spotkawszy w drodze przypadkiem, radziby jej złożyć uszanowanie.

Pierwszy z nich znajomym jej nawet nie był. Zdziwiła się niepomału hrabina, gdy jej Zaklika to oświadczył, nawykła od niejakiego czasu do tego iż wszyscy od niej stronili. Na myśl jej nie przyszło żadne niebezpieczeństwo, kazała prosić.

La Haye był człowiek grzeczny i z dworem obyty, umiał się znaleźć.

Hrabina Anna pomimo niepokoju i serca ucisku nawykła do poskramiania swych uczuć, usiłowała odegrać rolę spokojnej a nawet wesołej. Przyjęła oficerów grzecznie, uprzejmie bardzo, aże pora obiadowa się zbliżała, prosiła ich na skromny swój posiłek podróżny.

W czasie obiadu rozmowa szła dość swobodnie, ku końcowi Montargon który swe posłannictwo miał na sercu, począł opowiadać o Warszawie, o tém, o owém i zwrócił się do hrabiniej:

– Zdaje mi się – rzekł – że pani się niepotrzebnie w podróż tę wybrała. O ile my wiemy, król mocno zajęty i bodaj czy go to nie oburzy i nie rozgniewa. Możesz pani być wystawioną na nieprzyjemności.

Cosel na te słowa zmarszczyła brwi, cofnęła się z krzesłem od stołu.

– Jakto? pan! pan mi będziesz dawał rady? pan masz lepiej znać króla nademnie i moje położenie i to co mi czynić wypada?

Zmieszał się Montargon.

– Pani daruje – wybąknął.

– Nie daruję panu tego – zawołała Cosel – bo to jest i niezręczność i niegrzeczność. Dajże mi waćpan pokój z radami, których ja od niego nie potrzebuję.

Montargon pobladł, skrzywił usta.

– Odemnie pani hrabina w istocie anibyś mogła rad potrzebować, anibyś ich powinna słuchać; ale gdybym miał polecenie od króla J. M.

– Od króla? – zawołała Cosel.

– Tak jest.

– W takim razie nawet nie czuję się zmuszoną do posłuszeństwa – rzekła hrabina – opanowali go nieprzyjaciele moi, zrobił to czego był niepowinien uczynić i czego w tej chwili żałuje sam. Mógł król chwilowo uleść, a pewna jestem iż sam będzie rad że go nie posłucham. To moja sprawa.

Montargon człowiek gładki, ale obrażony tonem jakim go piękna podróżna zrazu poczęstowała, odezwał się głosem niby słodkim a w istocie boleśnie obrażającym:

– Wdzięczyłbym był pani hrabinie, gdyby mnie raczyła uwolnić od użycia nader nieprzyjemnego – siły.

– Jakto? – porywając się krzyknęła Cosel – waćpanbyś śmiał się targnąć na mnie?

– Mam stanowczy rozkaz króla zwrócić panią do Drezna – rzekł Montargon – i będę zmuszony być mu posłusznym.

Hrabina uniosła się porywem gniewu. Słyszała o panu szambelanie że był synem wioskowego pisarza i krzyknęła nań:

– Precz mi, piszczyku ty jakiś; precz! – porwała za pistolet – bo ci łeb roztrzaskam.

W progu stał już Zaklika.

Montargon, który także dobrze wiedział z kim miał do czynienia i był pewnym że hrabina mu słowa dotrzyma, wysunął się co prędzej, nie otwierając już ust, a la Haye, który się dotąd nie odzywał, pozostał.

Sposób w jaki towarzysz jego dostał odprawę był dla niego nauką, la Haye zaczął z wielką łagodnością:

– Pani hrabino – rzekł – posłów ani ścinają, ani karzą; niech się pani uspokoi: myśmy niewinni że nam tak nie miłe dano polecenie. Byłbym w rozpacz gdybym się mógł najmniejszą przykrością narazić pani, ale na miłość Boga, rozkazy króla! rozkazy z własnych ust N. Pana dla wojskowego, niema ratunku, one się spełnić muszą.

– Widziałeś pan króla? – spytała spokojnie Cosel.

– Tak jest, z ust jego własnych odebrałem rozkaz. Zaklinam panią, nie byś ratowała siebie, ale byś mnie raczyła uratować.

Ten ton łagodny rozbroił ją nieco: Cosel padła na krzesło drżąca.

– Niech się pani uspokoi; niema, jak mi się zdaje nic dla niej groźnego w tém wszystkim.

– Jakto? a ta Denhoffowa?

– A! to bałamuctwo przemijające – zawołał la Haye – coś nakształt romansu króla z Duval, o której dziś tak dobrze zapomniał, że nie wiem czy sobie jój imię przypomina. Pani Denhoff jest zamężną, mąż jój na wsi, o niczém nie wie, nie ma najmniejszego podobieństwa ażeby przybyła do Drezna. Król zaś powrócić musi; zobaczysz go pani i łatwo odzyszczesz wpływ swój nad nim.

Coraz spokojniej zaczęła go Cosel o wszystko rozpytywać, la Haye umiał jój historią w takiem świetle przedstawić, aby jój znaczenie zmniejszył. Po kwadransie rozmowy, hrabina grzecznymi prośby dała się wreszcie pokonać, la Haye odniósł zwycięstwo, kazano zaprzęgać, wracała do Pillnitz.

Montargon już się jój na oczy nie pokazał, ale ze szczęśliwą nowiną wysłał zaraz kuryera do pani marszałkowej. Obawiając się zaś ażeby Cosel nie zmieniła w drodze postanowienia, on i la Haye z oddziałem żołnierzy prowadzili ją niepostrzeżeni; noclegi i popasy odprawując w kilka godzin po niej, aż pod Budziszyn, zkąd już spokojni mogli wrócić po dziękczynienia tych pań do Warszawy.

Montargon, który dawno tak blisko nabitego pistoletu nie widział przy głowie, śnił o nim długo i mówił sobie pocichu, że drugi raz na tego rodzaju wyprawę narażałby się nie chciał.

Tymczasem pani Denhoffowa coraz jawniejszém występowaniem przy królu i przyjmowaniem go u siebie, poczęła zwracać oczy wszystkich i mowy w których jój nie oszczędzano. Jakkolwiek wpływ obyczajów obcych dał się już wówczas czuć w Polsce, choć nie był to pierwszy skandal tego rodzaju, tu jednak ludzie poważni gorszyli się i sarkali, a poniewieranie dobrej sławy przez kobietę zamężną, pod niebytność męża, oburzało.

Raziło to tém więcej, iż współniczką i pomocnicą była matka, że świadkiem była siostra, że się raczej chlubiono tém niż tajono z ponizieniem. Na Denhoffa, którego rozkazy króla i umiejętne intrygi trzymały oddalonego na wsi, nalegać zaczynała rodzina, ażeby żonę do siebie wezwał. Denhoff słał coraz gniewniejsze listy, coraz usilniejsze nalegania, coraz straszniejsze groźby.

Wymówek wreszcie nie stawało, wyprawiono doń matkę żony, która umiała sobie wszędzie dać radę.

Nazajutrz po swém przybyciu, pani marszałkowa odezwała się do zięcia:

– Nie męczcie nas temi wymaganiami powrotu, bo z tego nic być nie może. My szczęścia całej rodziny dla twoich fantazyj poświęcać nie myślimy; mamy króla w ręku, król się w Maryni szalenie pokochał. Chcesz żebym przez śmieszłą pruderię, odwiozła ci ją tutaj... a nasze interesa przez to zabiła!

Denhoff był człowiekiem trochę starego kroju, coś zasłyszał o bałamuctwach żony.

– Słuchaj waćpan – dorzuciła pani marszałkowa – masz do wyboru: albo milczyć i zostawić rzeczy jak są i korzystać z łask monarszych, coby ci do twych interesów nie zaszkodziło, lub zgodzić się na rozwód. Nuncyusz Girmani jest nam dosyć przyjazny i w Rzymie rozwód łatwo wyrobi.

– Moja pani – odezwał się Denhoff – dzielić się sercem żony z N. Panem, nie mam najmniejszej ochoty, a prawdę rzekłszy, ledwieby mi się co z niego okroiło... bo to tam dużo ludzi do córki jójmościńskiej konkuruje. Dajcież mi święty pokój z łaską królewską i z królewską kieszenią, a uwolnijcie mnie od Marysi, za co jeszcze wdzięczny będę, byle prędkiej.

Marszałkowa była nieco zdziwioną, że pan Denhoff przystał tak łatwo i tak rezolutnie łaską pańską pogardził, ale rozmówiwszy się z zięciem i otrzymawszy podpis jego, powróciła z nim do Warszawy do Grimaniego; nuncyusz napisał do Rzymu: Klemens XI rozwód dać kazał.

Tymczasem zmarł marszałek Bieliński, który chorował dawno i zgon ten był przewidzianym. Zostały po nim długie ogromne, majątki obciążone, interesa zawikłane i cała nadzieja podźwignięcia rodziny spoczęła w pięknych rączkach pani Denhoffowej, która gorliwie się wzięła do kassy J. K. M. Sprawiono najprzód panu Bielińskiemu jeden z najwspanialszych pogrzebów, na jakie w tym

wieku patrzyła Warszawa; potem dla nieszczęśliwych sierot umiano wzruszyć czułe serce Augusta II. Posypały się dary dla całej rodziny. Kronika ówczesna powiada, iż sama pani Denhoffowa nie byłaby nigdy umiała poprowadzić rokowań o nieustanne wsparcia i indemnizacye, gdyby nie rozum, doświadczenie i zapobiegliwość matki, niewypuszczającej ją z opieki i czuwającej nad dobrem całej familii. Pani marszałkowa prosiła o coś ciągle, prosiła nader zęcznie, bardzo słodko i grzecznie; znajdowała zawsze tak słuszne powody, tak konieczne potrzeby, tak tkliwie umiała przemówić do serca N. Pana, iż August dawał chętnie i choć nań Sasi już sarkali, nie bardzo zważał na to.

Pogrzeb marszałka był tak przepyszny, iż od żałoby uwalniał; król się musiał bawić, nie śmiano utrudniać mu rozrywek i zaprawiać je tęsknotą oddalając się od nich, tak, że bardzo prędko córki, syn i marszałkowa zaczęli bywać na balach i widowiskach, które król nieustannie wydawał.

Nie szło mu to jednak w Warszawie, dokąd wszelkie wytwórcze przybory zwozić potrzeba było z Drezna; nie miał tu całej tej armii posługaczów, którzy go otaczali w Saxonii, rozumiejąc jego skinienia, odgadując myśli, siłąc się na nowe coraz sztuki i wynalazki. Stolica Polski była ubogą stosunkowo w to co zbytek i wystawę karmić miało. Król chciał pokazać w oczach swej pani, na co go stało, zdumieć ją i zachwycić. Zaczęto mówić o wyjeździe do Drezna, gdy się pani Denhoff obawiająca pistoletów Cosel, upewniła że jój tam na drodze swój nie znajdzie.

Wyjazd z Warszawy całej rodziny, która szła za wozem tryumfatorki, zbierając co z niego spadało, nie prędzej nastąpił, aż się upewniono, że Cosel w drogę jój nie wejdzie.

Pani Denhoffowa dla pozbycia się rywalki, której w istocie więcej się lękała dla króla niż dla siebie; udawała ciągle przerażoną, otaczała się strażami, prosiła o opiekę, kazała strzedz od jakiejś wymarzonej napaści.

Być bardzo może iż nieprzyjaciele hrabiniej, chcący zapobiedz by wróciwszy do dawnych łask u króla nie mściła się doznanej zniewagi, wpływali na panią Denhoffową, pobudzając ją do prześladowania hrabiny. Dostyc że król, który rad ją był oszczędzać, i który łagodnie dostyc obchodził się po rozstaniu z innemi ulubienicami swemi, był teraz nieustannie pobudzany do coraz nowego, a coraz przykrzejszego znęcania się nad panią Cosel. Chciano się jój pozbyć koniecznie, pozbyć w ten sposób aby powrócić nie mogła.

Flemming nie bez przyczyny obawiał się spotkania z nią króla, wiedział że ona szukać go będzie, był przekonany, iż obudzi żal w Augustcie. Jątrzone więc i pobudzano Denhoffową, która wzdragała się prześladować kobietę, i kobietę nieszczęśliwą.

Ale Flemming i Fürstemberg przestraszali ją ciągle tém, iż Pillnitz będzie o parę mil od Drezna, że z królem spotkać się może, że naówczas pani Denhoff straconą zostanie ze stopni tronu, a z nią cała jój rodzina.

Tak z jednej strony, nasadzając panią Denhoff na króla, ażeby ją wygnał z sąsiedztwa stolicy, z drugiej Flemming sam przypomniał mu, iż nieopatrznie, w chwili namiętności, dał na piśmie przyrzeczenie ożenienia, że tym dokumentem przechwalała się hrabina Cosel, że należało bądź co bądź, papier ten, bodaj zań opłaciwszy, odebrać, aby króla nie kompromitował.

August znalazł to słuszném: raz rozpoczynawszy prześladowanie, obudziwszy gniew i pragnienie zemsty, musiał iść dalej i odebrać nieszczęśliwej wszelkie narzędzia obrony i usprawiedliwienia.

Nie dano jój w Pillnitz spoczynku.

Watzdorf zjawił się znowu. Jakkolwiek był dla niej wstrętlivym, Cosel nawykła teraz, z pozorną przynajmniej cierpliwością znosić wszystko: musiała go przyjąć, wiedząc że przybywa z wiedzą i za wolą króla.

Tym razem był on znacznie oględniejszy w postępowaniu z hrabiną.

– Życzę pani dobrze – odezwał się przy powitaniu – najlepszym tego dowodem, że tu przybywam, abym dopomógł do jakiej zgody i układów. Wpłyniemy wszyscy na króla, aby jak najkorzystniej wypadło to dla pani... ale...

– Ale co? – zapytała Cosel, spoglądając nań.

– Ale ze strony pani, trzebaby też trochę powolności – rzekł Watzdorf.

– Posłuchaj mnie pan – odezwała się Cosel – byłam królową, panią, bóstwem; jestem matką trojga przyznanych przez króla dzieci jego; nie dałam mu powodu do żadnych podejrzeń i zazdrości: najzłośliwsza potwarz zęby skruszyła, rzucając się na mnie. Jeśli sobie co mam do wyrzucenia, to zbytnią miłość dla króla.

Po tylu latach pożycia, w ósmym roku, nagle po świeżych jeszcze przysięgach i łaskach, najnikczemniejsza intryga odbiera mi nie jego serce, ale namiętność tylko. Każe mi zrzec się miłości... milczę... wypędzają mnie z darowanego pałacu, idę; każą mi się oddalić z Drezna, usuwam się do Pillnitz, chcę zobaczyć króla, zawracają mnie siłą z drogi. Pomimo to wszystko, ogłaszają mnie zuchwałą, mściwą, niebezpieczną, lękają się mojej wściekłości, mówią zem gotowa z rozpaczyny godzić na życie króla.

– Tak jest, wszystko to mówią, prawda, – rozśmiał się Watzdorf – ale pani możesz temu zadać kłam i spokojnie skończyć jak Teschen i Aurora.

Cosel zarumieniła się i porwała.

– Teschen i Aurora były faworytami – zawołała – ja mam przyrzeczenie ożenienia, ja byłam i jestem żoną.

Watzdorf się rozśmiał w głos.

– A! kochana hrabino – rzekł z poufałością obrażającą... – to są stare dzieje. Pani wiesz co na człowieku może namiętność? Ona bywa despotyczną, człowiek wówczas nie jest panem siebie, nie wie co czyni.

August II pan nasz najmiłościwszy podpisał przecie zmuszony pokój Altransztadski... a ogłasza go nieważnym; podpisał też pani może przyrzeczenie ożenienia, ale do niego nie przywiązuje też wagi.

Z trudnością mogła Cosel utrzymać oburzenie swe.

– A! królowi wolno – zawołała – do słów, przysięg i przyrzeczeń najuroczystszych, żadnej nie przywiązywać wagi; ale ja mam go za uczciwego człowieka, który wie co czyni i nie oszukuje siebie i ludzi... dla mnie słowo jego święte i ważne.

Zaczęła się przechadzać po pokoju... po namyśle Watzdorf odważył się przystąpić do tego z czem przybył.

– Niech mi pani powie otwarcie – odezwał się – jakie są jęj żądania? Król ma dla niej wdzięczność i dobrą wolę... uczyni wiele; tylko znowu nie trzeba wymagać rzeczy niepodobnych ani żartów podnosić do znaczenia, jakiego nie miały. Ten papierek królewski pani oddasz.

Żywo zwróciła się Cosel ku niemu:

– Z tém pan przybyłeś? – zapytała.

– No, muszę wyznać: tak jest.

– Wracajże nazad – odparła Cosel rozplómięta, – bo pókim żywa nie oddam nikomu. Jest to obrona mojego honoru, a ten mi droższy jest nad życie. Myślicie że zgodziłabym się za wszystkie skarby i pałace Augusta, za blask jego łaski, podać mu rękę, gdybym tę obietnicę ślubu nie otrzymała.

– Ależ to była śmieszność – rzekł Watzdorf. Sama pani uznasz! królowa żyła i żyje.

Któż jest w prawie rozporządzać tak przyszłością: takie przyrzeczenie w oczach prawa, ludzi, świata, nic nie waży.

– A pocóż mi je odbierać chcecie? – zapytała Cosel, – bo wam wstyd tego, że król mnie słabą, nieświadomą, uwiedzioną oszukiwał? Lękacie się, aby go ta lekkomyślność i zdrada nie napiętnowała tak jak godzien.

– Pani, ja przeciw królowi wyrzutów słuchać nie mogę, – rzekł Watzdorf.

– To wracaj zkad przybyłeś – zimno odezwała się Cosel, chcąc wyjść z pokoju. Poseł poruszył się z siedzenia i wstrzymał ją.

– Zastanów się pani, do czego to prowadzi! Króla zmuszasz pani do użycia ostatecznych środków, do surowości bezprzykładnej. Wszak może użyć siły! Wszak papieru tego nie ukryjesz pani tak, aby go ci wyrwać nie mógł.

– Więc niech próbuje, – odparła hrabina.

– Tę była ostateczność nader smutna – kończył Watzdorf – tę właśnie wszyscy, co jej życzą dobrze, radziby uniknęli; tę ja pani chcę oszczędzić.

Jeśli zmusisz do gwałtu, nic się spodziewać nie możesz; dobrą wolą otrzymasz pani...

Cosel nie dała mu dokończyć i zapytała:

– Chcesz bym sprzedała mój honor i oceniła go na pieniądze? Zaręczam ci, że skarbiec królewski niema tyle, ażeby kobiety jak ja honor zapłacił. Za skarby świata go nie oddam.

Z dumą i siłą wypowiedziała te słowa.

– Chcę żeby świat wiedział jak niegodnie byłam oszukana, jak niepocziwą zrobiono sobie ze mnie igraszkę.

Łzy potoczyły się jej z oczów.

– Nie – zawołała nagle – waćpan kłamiesz, to nie jest wola królewska: nie wierzę. Czernicie króla chcąc go obronić. Wierzę w płochosć chwilową jego, ale nie zwątpiłam o sercu szlachetnym. Król nie może tego żądać!

Posłany milczał, z wolna rozpiął suknię, zaczął szukać w pliku papierów królewskiego listu i pełnomocnictwa, które miał przy sobie: w milczeniu podał je hrabinie.

Rzuciła na nie okiem prawie pogardliwym.

– Jeśli to co mnie podpisał i poprzysiągł niema wagi – odparła ręką papier usuwając – jakąż mam przywiązywać do tego pisma i podpisu? Jutro król może ten list kazać wam odebrać i odwołać!

Zmieszany widocznie Watzdorf, list złożył i schował nazad: litość odmalowała się na jego twarzy.

– Pani hrabino – odezwał się cicho – jej postępowanie budzi we mnie litość, wierz jej lub nie, ja więcej nad nią dać nie mogę. Na Boga, zważ pani na co się narażasz. Nie śmiałybym słowa jednego wyrzec przeciw królowi. Król jest jak najlepszym, najszlachetniejszym, ale w sobie musi bronić godności królewskiej, za którą przed monarchami i ludami odpowiada. Tam gdzie idzie o sprawy stanu, niema środków jakichby nie wolno było użyć. Niech pani przypomni los ludzi wielu, wielu. Niebezpiecznie jest sprzeciwiać się królowi, gdy nim owładnie namiętność.

– Znam go lepiej od was – wrzuciła Cosel.

– Król nasz umie być dobrym, ale potrafi być strasznym – rzekł Watzdorf.

– Wiem o tém – powtórzyła hrabina.

– Zaklinam panią!

– Oszczędź pan sobie czasu i zachodu, to rzecz próżna – zaczęła Cosel spokojnie – groźbą mniej na mnie możesz podziałać niż namową: wstydziłabym się jej uledz.

Watzdorf napróżno usiłował jeszcze przekonać hrabinę, która spojrzawszy nań długo i pogardliwie wyszła z pokoju. Nie pozostało mu nic nad powrót do Drezna i zdanie sprawy z nieszczęśliwej znowu próby...

### III

Są istoty które na ból patrzeć lubią a jękom się przysłuchiwać, poić się cierpieniem i nieszczęściu urągać. Płochosc czy złość pobudką: zawsze to świadectwo mniej szlachetnych charakterów.

Nieszczęście jakiemu Cosel uległa, uczucie zemsty i ciekawości budziło w jęj nieprzyjaciołach. Prawda że dumę swą nieraz im czuć dała, że nie wiele osób zasłużyły na jęj przyjaźń; lecz w owym dworze intryg osobistych pełnym, trudno się było do kogo przywiązać.

Do natrętów co się odpędzić nie dawali należała baronowa Glasenapp. Cosel raz już była zmuszoną dom jęj wypowiedzieć, przekonawszy się co z niego wynosiła i udając przyjaźń, za drzwiami sama się z nięj wyśmiewała. Długo też nie pokazywała się potem, a jak najmniej spodziewać się jęj było można teraz, gdy Cosel nie miała ani znaczenia, ani przyjaciół nawet w tych, co jakiś wstyd zachowali jeszcze.

Jakież było zdziwienie hrabinęj, gdy nazajutrz oznajmiono jęj odwiedziny Glasenappowęj. Zrazu wahała się z przyjęciem nie chcąc wystawiać na urągowisko lub fałszywe zapewnienie współczucia, w które wierzyć nie mogła.

Glasenappowa niezrażona długim oczekiwaniem, pobiegła na okół domu, którego dół zajmowała Cosel i od okna do okna przechodząc i zaglądnając, gwałtem się starała ją znaleźć i do nięj docisnąć.

W ten sposób w istocie napadła Cosel, która usunęła się do swojego gabinetu i przewiesiwszy w otwartem oknie, zmusiła by jęj drzwi odemknięto.

– A, moja droga hrabino, nie kryjże się – zawołała – wiem że ty w moją dla siebie dobrą wolę nie wierzysz, lecz ja ci to przebaczam, bo się nad tobą lituję. Każżę mnie puścić! przynoszę ci plotki z miasta: nic nie chcę, tylko cię uściskać.

Cosel znudzona i zmęczona zarazem przyjęła baronowę, która się rzuciła w krzesło, patrząc w zwierciadło i poprawiając potarganą w drodze fryzurę.

– Chciałam ci dać dowód, że mam serce, choć te gałgany drezdeńskie – odezwała się – odmawiają mi wszystkiego. Nięma potwarzy któręjby na mnie nie wymyślili; wierz mi Cosel, że ja ci zazdrozczę twęj samotności, bo na dworze żyć a jeszcze na takim, to się jak ja wściec potrzeba.

Zatrzymała się chwilę, siadła wygodnięj, obejrzała wkoło.

– Ale tu w Pillnitz cicho, miło, ładnie i wcaleby ci źle nie było, gdyby ci choć tu spokojnie dali odetchnąć. Ja nie sądzę żeby ci się to udało. Ta paskudna Denhoffowa gotowa cię i ztąd wygnąć.

Cosel uśmiechnęła się wzgardliwie.

– Mamy tedy tę panią w Dreźnie – poczęła paplać żywo – a z wielkiego strachu abyś jęj z pistoletu nie postrzeliła, podpółkownik Chatira i sześciu kawaler-gardów na krok jęj nie odstępują. Myślę że za tę gwardyę nie gniewałaby się nawet nie mając obawy.

Oprócz tego postawili ją u Fürstembergu, dopóki jęj pałacu nie zbudują, ale nim zbudują, panowanie się jęj skończy.

– Mają przecież pałac po mnie – mruknęła Cosel.

– O! ten już przeznaczony dla Kurfirsta – dodała Glasenapp, która wiedziała o wszystkim. Chatira jest marszałkiem dworu, ministrem, przyjacielem, myślę że i garderobianą u Denhoffowęj... Flemming wydaje śliczne wieczorki dla króla i faworyty, nigdy z nich na trzeźwo nie wyjeżdżają. Mówią że na jednym z nich dobrze podpiwszy pogłaskał Denhoffowę pod brodę, zowiąc ją czule takim epitetem na jaki zasłużyła. Nie wzięła mu też tego za złe... zresztą słyszę tak dobra, że królem gotowa się podzielić nawet, byle nie z tak straszną jak ty moja Cosel, która nie cierpiąc podziału, chciałabyś go całego sobie zagarnąć.

To mówiąc Glasenappowa pochyliła się naprzód, obejrzała ostrożnie, palec położyła na ustach.

– Król się nam zmienia – szepnęła – znaleźliśmy go jako bardzo dobrego pana: staje się srogim i okrutnym.

Cosel spojrzała na nią.

– Tak względem mnie nie jest...

– O! to bardzo naturalne: wielka miłość nigdy się inaczej nie kończy – mówiła dalej Glasenapp – ale słyszałaś o Jabłonowskim?

– O nikim nie słyszę, bo nikogo nie widzę – odezwała się Cosel.

– Wiész przecie ile król winien był hetmanowi, ile wojewodzie ruskiemu, który hetmana skłonił na stronę króla; a wiesz gdzie dziś ruski wojewoda?

Cosel spojrzała zdumiona.

– Książę wojewoda siedzi w pokoju Beichlinga na Königsteinie. Wzięto go z Warszawy z tego samego mieszkania, w którym ojca namówił na stronę naszą i w rocznicę dnia gdy wyjeżdżali Kurfirsta witać na granicy.

– Byćże to może! – zawołała Cosel.

– Tak i jabym spytała może niedawno, czyż to być może – mówiła dalej przybyła – a dziś powiadam że możliwe wszystko.

– Cóż zawinił wojewoda?

– Mówią, nie wiem, że tam na jakimś zjeździe tych pogolonych głów polskich, właśnie gdy król brał Denhoffową wystąpił jawnie przeciwko niemu za to że im żony zabięra, że mieszka publicznie z cudzemi, że kraj psuje: że to zbrodnia stanu!

Zbrodnia stanu! – śmiejąc się i plaszcząc w ręce wołała Glasenappowa – a! nieoszacowany Jabłonowski. Mówią że tym sposobem na Leszczyńskiego nawracał, iż im przynajmniej żony całe zostawi. Królowi najgorzej to dopiekało, że mu Denhoffową, chciał wyrwać. Szpiegowano Jabłonowskiego tak, że tam jakieś listy poprzezjmowano, jakiegoś pisarza wzięto na konfessaty, jakieś papiery poznajdowano w domu i król bez ceremonii, bez sądu Jabłonowskiego na Königstein wywieźć kazał.

Cosel słuchała obojętnie.

– Miarkujże moja droga – dokończyła Glasenapp – kiedy około książąt wojewodów tak mało ceremonii, cóż już o innych mówić? co my biedne znaczymy, gdy się nas pozbyć potrzeba.

Opowiadanie Glasenappowej, choć nie odezwała się Cosel ani słowem, uczyniło na niej wrażenie. Wojewoda ruski na Königsteinie, nie sądzony, nie przekonany... i za sprawę polską więziony w Saksonii, w istocie było to coś nowego i do myślenia dającego.

Od smutnego tego przedmiotu, Glasenappowa przeszła prędko do weselszych.

– Mamy świetne ciągle zabawy – rzekła – król się wysadza na nie, chociaż Denhoffowej nikt na nich nie widzi; domyślają się tylko ludzie, gdyż przed królową nigdy z odkrytą twarzą stanąć nie śmiała. Jak Teschen maskuje się i przebiera za niedoperza razem z siostrą: mamy też najwięcej maskarad i redut. Króla także nie widać nigdzie, bo musi siedzieć z nią zamknięty. Przy jednej wieczery Kyan, słyszę, zamiast do kielicha, zapraszał do nabożeństwa po katolicku na intencją N. Pana, ażeby go Bóg z niewoli polskiej wyzwolić raczył.

Cosel smutny uśmiech przebiegł po ustach.

– Nazajutrz – dodała opowiadająca – ktoś pochwycił koncept dowcipnisia i przybito na Georgenthor i na kościele zaproszenie wszystkich wiernych na to nabożeństwo. Król się słyszę śmiał, lecz tego co się to ważył uczynić szukać kazano, a wątpię by go znaleźli.

Plotła tak nieznużona długo pani baronowa, aż czas nadszedł obiadu, na który się wprosiła. Po nim zażądała widzieć ogród i aleje lipowe. Tu gdy się sam na sam znalazły, Glasenapp zbliżyła się do ucha hrabiniej:

– Macie mnie wszyscy za złośnicę, siejącą tylko niezgodę i radującą się z wypłatanego figła. O! nie przeczę że lubię dokuczyć tym, którzy mi też dojedli nie mało; alebym rada usłużyć, gdy mi kto raz w życiu dobrą wolę okazał, a téj doznałam niegdyś od was hrabino. Żal mi was...

Na dworze naradzają się i odgrają przeciwko wam, jeżelibyście tego papieru wydać nie chcieli.

– Papiéru? jakiego? – napozór obojętnie spytała Cosel.

– A! przecież wiecie o co chodzi, bo Watzdorf tu do was dla odebrania go był przysłany... Mówią, że jeśli nie oddacie go z dobrej woli, gotowi użyć siły.

– Bardzo dziękuję za przestroę – odezwała się Cosel – ale ja na wszystko byłam i jestem przygotowaną. Tego papieru, jak go nazywasz, odebrać mi nie mogą, bo go nié mam: jest w dobrych i pewnych rękach. Spodziewałam się i téj w końcu nikczemności... złożyłam go w miejscu bezpieczném.

Glaserapp długo patrzyła na nią, chciała widocznie z oczu wyczytać czy prawdę mówiła, ale Cosel była nieprzeniknioną gdy chciała... osłoniła się dumą i spokojem udanym, choć czuła w sobie wrzenie oburzenia i gniewu.

Łatwo jéj było poznać i domyslić się, że Glaserappowa dlatego tylko rozpoczęła od plotek złośliwych, aby obudzić zaufanie, że wysłano ją aby się czegoś dowiedzieć; że była szpiegiem Watzdorfa lub Flemminga. Nie mogli wysłać ani gorszego, ani mniej obudzającego zaufania...

Zabiegi całe na nic się nie przydały, Cosel zimno wysłuchawszy zwierzeń i przestróg, dała jéj z niczém powrócić do Drezna.

Zaledwie powóz który ją tu przywiózł oddalił się nieco, gdy hrabina kazała zawołać Zaklikę.

Ten zawsze był w pogotowiu.

Obawiając się podsłuchaną być we własnym domu, Cosel wyprowadziła go na podwórzec i usiłowała tak prowadzić rozmowę, aby się ona wydała rozporządzeniem tyczącém domu i ogrodu...

Zaklika myśli jéj zgadywał.

– Jesteśmy tu szpiegowani – odezwała się – prawda?

– Dokoła, nawet w domu za nikogo ręczyć nie mogę – odpowiedział wierny sługa.

– Można ich oszukać? – spytała.

– Gottlieb tu na czele – począł Zaklika – zdaje mi się że on do miasta jeżdząc po zapasy domowe, raporta odwozi. Lecz nie mądry jest i spoić go łatwo, a zwiéść jeszcze łatwiej...

– Gottlieb? – zawołała hrabina.

– Tak, właśnie ten, który się najwięcej z miłością swą dla pani uprzykrza... radby ażeby się go nie obawiano.

– W mieście wszyscy cię znają? – zapytała cicho Cosel.

– E! wielu zapomniało już o mnie – podchwycił Zaklika – a dla innych toć się i trochę zamaskować łatwo.

– A masz-że od kogo zasięgnąć języka?

– Gdy muszę, znaję... – rzekł wezwany.

Po tych wstępnych pytaniach, Cosel jakby dreszczem przejęta, drgnęła.

– Niéma tu już bezpieczeństwa dla mnie – rzekła – muszę uciekać, ale jak? tobie ufam jednemu; mów, jak?

Zamyślił się Zaklika i milczał.

– Trudno – mruknął – ale gdy musimy.

– To nie dosyć – kończyła Cosel – ja muszę zabrać z sobą co mam najdroższego, co stanowi dziś majątek cały. Musimy uwięzić klejnoty, pieniądze, bo to co tu zostanie, będzie ich łupem: zaborą wszystko.

Ani słowa na to zwierzenie się nie odpowiedział Zaklika: potarł czoło, targnął węża, spuścił w dół oczy.

– Mów pani – rzekł widząc że Cosel czeka.

– Czy mi zaręczysz że dobiegnę przed pogonią za granicę..?

– Co w ludzkiej mocy, zrobimy. Zaklice pot kroplami na czoło wystąpił, widać było że niepokój go dręczył, że się lękał a nie chciał wydać z bojaźnią.

– Dawno to uczynić trzeba było wprzód – rzekł ucinając mowę, bo nie nawykł długo się wyrażać – ale co się nie zrobiło, o tém mówić już niema co: trzeba czynić co teraz mamy przed sobą.

Złamał palce gniotąc je biédny człek, aż kości trzeszczące w nich słycać było; chmurne czoło namarszczył, stapał z nogi na nogę. Cosel patrzała nań z trwogą i ciekawością, ten człowiek cały w sobie, energiczny, silny, mało mówny, po wypieszczonych ludziach do jakich była nawykła, na których spuścić się było niepodobna, dziwił ją, zdumiewał, lecz cieszył. Czują w nim człowieka.

Rajmund wyglądał dziko prawie, zamyślił się, nasępiwszy brwi...

– Nocą pojedę do miasta – rzekł – ja tu w domu mało się pokazuję i tak; nie każ mnie pani wołać aż sam przyjdę, będą we dworze sądzili że się zamknął, co nieraz bywało. Mam łódkę skrytą w krzakach pod wyspą, spuszcze się Elbą... Napowrót więcéj czasu potrzeba pod wodę, ale i na to się znajdzie sposób. Co tam zdołam się wywieźć u dworu... zobaczę... Trzeba obmyśleć i resztę; wyjazd, to nie mała rzecz...

Mówiąc tak urywanemi słowy wzdychał. Cosel zobaczyła w téj chwili krążącego z dala Gottlieba, który już się mógł czegoś domyśleć z dłuższej rozmowy i zaraz skinęła na niego.

Niemiec skwapliwie się przysunął.

– Ja sądzę – nieprawdaż Gottlieb – że z Pillnitz wcale piękny kąt można zrobić... Chciałabym mieć ogród, chciałabym mieć kwiaty, bo pewnie się ztąd nie rychło ruszę. Jeśli będziecie w mieście, to wy mi ogrodnika nastęrczcie, bo Polak któremu to chciałam polecić, wymawia się że nikogo nie zna.

Gottlieb spojrział na panią i na Polaka, jakby pragnął odgadnąć czy to prawda była; skłonił się i zaczął mruczeć szybko, zaklinając że dla swéj najdroższej pani zrobi wszystko.

Na tém się narada skończyła, Cosel poszła do domu... Gottlieb uczepił się jeszcze Zakliki, aby co z niego wyciągnąć. Nad wieczorem Polak, jak go tam na dworze zwano, zniknął. Obudziło to podejrzenie szpiegów, probowali drzwi: zastali je wewnątrz na rygiel zamknięte. Mieszkanie było na dole od ogrodu, podkradziono się więc pod okno. Naprzeciw niego stało łóżko, a na niem widać było ogromnego chłopca wyciągniętego, w ubraniu w jakim chodził i twarzą obróconego do ściany. Uspokoił się więc szpiegi, iż w domu był i dali mu spać do syta. Nie było téż co robić. Czarna noc zapadała powoli, tylko czerwony odbrzask nieba zachodniego w wodach Elby się odbijał, gdy Zaklika łódkę pocichu odwiązawszy od kółka u którego była przymocowaną, wsunął się w nią, odepchnął od brzegu i pochyliwszy puścił ją z wodą. Prąd rzeki szybko ją ku Dreznu unosił. O téj porze łodzi prawie nie spotykało się na Elbie, i znać ją było dobrze potrzeba, ażeby nie wpaść na mielizny i kamienie. W czasach gdy jeszcze błdził niczém nie zajęty po okolicach Zaklika, pływał wiele i żegluga się bawił, tak że po za Pillnitz ku Pirnie i dalej znał wszystkie rzeki załomy i mielizny. Noc go więc czarna wcale nie ustraszala, a w kilka godzin ujrzał już najprzód światelka przedmieść rozrzuconych u brzegów, potem jakby jasną łunę nad zamkiem świecącą, bo na zamku zabawa była i illuminacya.

W Dreźnie będąc na dworze Cosel, Zaklika miał zręczność wielu tam poznać ludzi; serce go ciągnęło raczej ku stojącym w cieniu i na boku, niż do tych co błyszczeli wśród przedpokojów i wmieszani bywali do intryg, lub im posługiwali. Znajomych i przyjaciół miał wielu. Nim dopłynął myślał teraz ciągle do kogoby się udał.

Na dworze który nieustannie pieniędzy potrzebował, gdzie klejnoty garściami pięknym paniom sypano; handel pieniędzmi i klejnotami był jedną z potrzeb powszednich.

Miał król kredyt na znaczniejsze summy w Wiedniu u Oppenheimerów, w Berlinie u Liebmana, w Dreźnie dostarczycielami i pośrednikami było dwóch izraelitów wielce znanych miastu, z których jeden nawet grał pewną rolę i trzymał dom otwarty a żył z przepychem. Byli to sławni Lehmann Berendt i Jonas Meyer...

Ostatni przybył tu z Hamburga w r. 1700 w początkach panowania Augusta i przekonawszy się, iż znajdzie wiele do zrobienia, przy takim wiekuistym na pieniądze głodzie, osiedlił się w Dreźnie. Piérwsza to była wexlarnia i bank w tém mieście, na który król pono dał mu dom, zwany Starą Pocztą, a naówczas Judenhauzem. Meyer pałac z niego zrobił, założył ogród, na pierwszém piętrze sal kilka zbytkownie wystroił i dawał czasem swym klientom bale i maskarady. Meyer zakrawał już wówczas

na dzisiejszych bankierów tego rodzaju, nosił się po francuzku, stroił bogato, i mawiano, że wcale niepowabny... miewał chwile szczęścia osobliwego, gdy sobie go pozyskać chciano.

Towarzysz jego Lehmann Berendt, człowiek był wcale innego rodzaju... pochodził on z Polski i zachował cechy izraelitom tutejszym właściwe.

Skrzętny był, skromny, cichy, niepozorny, w interesach wyrachowany, niezapierający się wcale ani pochodzenia, ani wiary, ani pragnął się mieszać do świata, w którym wiedział jak drogo okupywać trzeba prawo obywatelstwa.

Kilka razy w różnych sprawach, hrabina Cosel posyłała Zaklikę do niego. Lehmann na zawołanie do niej przychodził, mieli z sobą interesa znaczne.

Izraelita, który najlepszą miał zręczność poznać ludzi, w sprawach pieniężnych, odgadł szlachetny charakter w Cosel; wierzył jej i był dla niej z wielkiem uwielbieniem. A że rodzina jego pono siedziała niegdyś w Krakowskim i on tam młode lata przepędził, a Zaklika też ten kąs kochał... rozgadywali się z sobą nieraz, Lehmann żartując język dawny przypominał. Czasem podać kazał wina lampkę i z Rajmusem przegawędził jaką godzinę, tak się poznali bliżej i poprzyjaźnili.

Zaklika wiedział że Lehmann już po upadku Cosel, dał jej dowody poszanowania i wierności.

Cale różny od Jonasa, który był wielbicielem króla, służką z kolei wszystkich wpływowych ministrów, który padał na twarz przed wszystkimi i chwalił co tylko zrobili, nie brzydząc się zepsuciem dworu. Berendt wprawdzie pieniądze robił z tych ludzi, ale w duszy miał dla nich pogardę i wstręt do nich. Ta płochosć i rozwiązosć, która tu stała się prawem i obyczajem, oburzała go.

Wprawdzie popisywać się z tém ani mógł, ani chciał; lecz z twarzy jego niemal czytać się dawało, co o tych ludziach trzymał. Z przyjemnością odzierał ich ze skóry. Natomiast dla uczciwszych, nieraz był, nawet bezinteresownie pomocnym. Z tego co z sobą nieraz poszeptali pocichu, Zaklika wnosil iż na Lehmana śmiało się spuścić może, a przynajmniej rady szukać u niego.

Gdy czołno poniżej mostu w znanym sobie kącie u gospodarza Wenda, bo ich tam na przedmieściach wielu jeszcze naówczas mieszkalo, bezpiecznie umieścił Zaklika, odziewszy się po oczy płaszczem i kapeluszem nacisnąwszy posunął się do miasta.

Przeszedłszy bramy, choć godzina była późna, poznał po ruchu ulic, iż w zamku zabawa być musiała. Zdala już gorejącą nad ogrodem Hesperyd w Zwingrze widać było illuminacyą. Król dawał zabawę maskową przy pochodniach dla Denhoffowej. W ulicach ludzie się strumieniami w różne strony leli, a między niemi i nie jedną maskę widać było, wyglądającą z lektyki lub karety. Szał panował wszędzie... znać było znowu dobre czasy.

Nie zbliżając się do zamku nawet, znanymi uliczkami Zaklika szukając mroku, po pod domami, z których nie wiele oświeconych było, dostał się niepostrzeżony do Judenhauzu na Pirnaiską ulicę. Lehmann miał tu skromne na tyłach mieszkanie oddzielne. O tej godzinie prawie pewien był Zaklika, że go zastanie samego, że może służyć nawet nie będzie, a szło mu o to, ażeby nikt go nie widział i nie poznał.

W istocie co żyło poszło patrzeć na bal do Zwingru, pod gołém niebem, pośród olbrzymich drzew pomarańczowych... kręcący się i szumiący z południowych krajów szalem i wrzawą. Stara kucharka otworzyła mu i wpuściła do Lehmana, który wyszedłszy do sieni ledwie go poznał, a otrzymawszy znak, wprowadził niepostrzeżonego od służby do swojego gabinetu w tyle domu.

Ścisnęli się za ręce w milczeniu.

Lehmann był przystojnym mężczyzną już niemłodego wieku, siwiał, ale piękna twarz wschodniego typu, bez zmarszczek, spokojna, malowała charakter z życiem przejednany, znający jego warunki i ostygi już wielce.

Czarne oczy patrzyły chłodno i rozumnie, a mimo ich ostygnięcia czuć było, że je coś ogrzaćby potrafiło.

Zaklika przywitawszy go, obejrzał się niespokojnie; gospodarz domyślił się o co mu chodziło i szepnął, uderzając po rękę:

– U mnie jesteś bezpieczny; nikt was tu i nie zna i nie pozna i, gdy trzeba, nie zobaczy.

– Tegobym sobie życzył – rzekł Zaklika.

Lehmann wyszedł na chwilę, dając mu znak i powrócił prędko. Przysunął krzesło do stołu, posadził go i usiadł sam.

– Co się z wami dzieje? – zapytał.

– Dzieje się tak źle – odparł Zaklika – iż gorzej, gorzej już być nie może. Wygnano nas z pałacu, z domu, z Drezna a teraz idzie o to, żeby nas pono i z Pillnitz wypędzić... jeżeli nie gorzej. Nieszczęśliwą tę ściga zemsta nikczemnych ludzi... trzeba ją ratować.

– Tak jest, tak jest – odparł Lehmann, poprawiając czarną czapeczkę, którą starym obyczajem nosił na głowie – ale siebie nie gubić.

– Myślę, że się to da pogodzić! – odezwał się Zaklika.

– Tak, tak, tylko rozumnie i ostrożnie.

– Cosel uciekać musi – dodał Zaklika.

– Dokąd? – spytał żyd z uśmiechem – chyba za morze... tu sobie panowie wzajemne czyniąc przysługi, oddają zbiegów.

– Sądzę, że o nas się upominać nie będą.

Lehmann głową pokiwał.

– Hrabina – mówił dalej wierny sługa – musi z sobą zabrać co ma, bo co zostanie, wezmą chciwi następcy, jak zabrali pałac, i co w nim było.

Bankier głową znowu dał znak potakujący.

– A czy bezpiecznie uciekając zabrać z sobą reszty? A gdybyśmy w ręce nieprzyjaciela wpadli?

Chwycił się oburącz Izraelita za głowę.

– Jużto, wierzcie mi – rzekł – radbym hrabinie z duszy dopomódz; znam jej historię, znam charakter: była to jedna perła w tym błocie. Winienem ja jej wiele i pomogę chętnie. Żyd jestem, ale serce mam i uczciwych ludzi szacować umiem; ale posłuchajcie mnie, panie Zakliko: siebie, dzieci i rodziny dla niej gubić nie mam prawa.

– Ja przecie, gdyby mnie na katowni najsroźsze wzięto nie wydam was, ani hrabina, a więc nikt, chyba Bóg jeden wiedzieć będzie o waszym dobrym uczynku.

Lehmann rękę mu podał: – Zgoda – rzekł – trzeba żeby was tu u mnie nikt nie widział, ani wchodzącego, ani wychodzącego, bo i za mną jak za wszystkimi szpiegi chodzą.

– Nie bójcie się o to – dodał Zaklika.

– Co mi dacie, to wam prześlę gdzie będzie trzeba – dodał Izraelita – rzecz jest skończona.

Jeszcze raz sobie dłonie podali.

Lehmann z szafy dobył flaszkę wina i dwa kieliszki: nalał je i siadł.

– Dziękuję wam – odezwał się Zaklika – nie zabawię długo, muszę się jeszcze o wielu rzeczach dowiadywać, wiele przygotować, a czasu mam mało.

– A o czymże dowiedzieć się chcecie? – spytał chmurno Lehmann zniżając głos – u nas tu zawsze gospodarstwo jedno, kto na oczach u króla, kto z nim razem pije i bawi się, w łaskach. Od rana do wieczora zabawiamy się, a co nam do zabawy przeszkadza, to zmiatamy z drogi do Königstein, lub gdziekolwiek bądź, byle nam nie zawadzało.

Litości tu ani serca nie pytać, bo niema nieczulszych ludzi nad rozpustnych. Jeden pod drugim kopią, jedni drugich wysadzają; król posługuje się wszystkimi, obsypuje łaskami gdy potrzebni, i gardzi niemi...

Wszystko jedno: jest to co było wczoraj i co pewnie jutro będzie, aż póki jaka burza wszystkiego tego razem nie zmiecie.

– Król więc zakochany? – spytał Zaklika.

– On? zakochany? – odparł Lehmann – a czyż taki człowiek kochać co może oprócz siebie? Ktoś na niego mówił, gdy swoją religię na waszą zmieniał, iż nie wierzy aby cokolwiek mieniał, bo nic nie miał: tak samo z tą miłością, której nigdy nie było.

– A Denhoffowa!

– A! a! – zawołał Lehmann – co ma być? pieniądze zbiera i klejnoty: król już pono myśli zawnoczu za kogo ją wyda gdy mu się uprzykrzy.

Siostrę jęj hetmanowę Friesenowi swatają, a ją? no! weźmie Haxthausen, albo Francuz Besenval, bo już ich mają w zapasie.

Ruszył ramionami Lehmann.

– Cóż ty się tu chcesz nowego dowiedzieć? tu się ludzie zmieniają nie rzeczy.

Chwilę potem jeszcze po cichu mówili z sobą, Lehmann wziął klucz, wyprowadził go do furtki ogrodowej, wypuścił nią i klucz mu zostawił. Pożegnali się mruczając. Zaklika obwinięty płaszczem poszedł dalej... Nie sądził aby niebezpiecznym było podsunąć się z tłumem ku Zwingrowi, chciał zobaczyć jak to tam teraz wyglądało: zdawało mu się że się niewidzianym przesunie.

Już był w zamkowej ulicy pełnej przesuwających się masek i *nobles venisiens* i dominów, gdy go ktoś po ramieniu uderzył...

Zwrócił się zdziwiony: za nim stał uśmiechnięty Fröhlich, stara jego znajomość. Tego dnia nie zmienił on stroju, który dlań był urzędowym, ani uśmiechu z ust, bo ten także do urzędu należał.

– Jakżeście mnie poznali? – zapytał Zaklika.

– Tu takich szerokich ramion oprócz króla i was niema nikt – szepnął Fröhlich – ale coż wy tu robicie? Słyszałem żeście byli u dworu tej... tej, która upadła...? a teraz?

Zaklika dla utajenia się, odparł żywo:

– Nie było tam co robić! opuściłem go!

– To rozumnie – rzekł Fröhlich – wszystko dobre, ale swój kark zawsze trzeba najwięcej szanować... cha! cha! niech każdy ratuje się jak może! Powróciliście więc do służby króla? czy może już Denhoffowej służycie?

– Jeszcze nie – odparł Zaklika – a jakże się ona wam wydaje?

– Mnie? – zapytał Fröhlich – ona mi się wydaje, jak te małe stworzonka czarne, co to skaczą i kąsają, które się zdaje łatwo zgnieść a trudno złapać.

Począł się sam śmiać, i zatknął sobie usta.

– Piérwszy niedoperz którego zobaczycie na balu, to będzie ona. Ładne cacko, ale drogo kosztuje.

Jeszcze mówili z sobą, gdy przechodzący Hiszpan w masce, stanął o parę kroków od nich i widocznie przypatrywać się im i przysłuchiwać zaczął. Zaklika chciał się oddalić, gdy maska się wcisnęła, zajrzała mu pod kapelusz i pochwyciła za rękę.

Fröhlich natychmiast się wysunął.

Z pod czarnej maseczki poznać nie było można człowieka, który zmienionym głosem począł natarczywie pytać, „co tu robisz? co robisz?”

Nie miał już Zaklika lepszój odpowiedzi do dania, nad tę którą zbył Fröhlicha.

– Szukam służby – rzekł.

– Ho! to ci się twoja pani sprzykrzyła...

– Nie jest ona panią dziś i sług nie potrzebuje.

Stali właśnie w jednej z bram zamku wychodzących w ulicę, Hiszpan pociągnął Zaklikę z sobą pod jęj sklepienie, którą kilka mdłych oświecało latarni.

– Szukasz służby, a jakiejżebyś żądał?

– Jestem szlachcic, szlacheckiej służby wymagać mam prawo, takięj, która się przy szabli lub szablą odbywa.

Hiszpan coś zamruczał.

– A Cosel? gdzie Cosel?

– Zapewne w Pillnitz? nie wiem?

– Chodź ze mną.

– Dokąd?

– Nie pytaj, przecież się nie lękasz?..

Zaklika poszedł.

Po drodze postrzegł iż nieznajomy prowadzi go do Flemminga.

Pomimo maskarady na Zwingrze, Flemming był w domu, zapijano u niego. Maski przychodziły i wysuwały się, kilku co woleli siedzieć u kielichów, nie ruszali się; Flemming spodziewał się nawet króla na chwilę.

Wrzawa buchała z pokoju w którym goście się zabawiali. Hiszpan wszedł przez drzwi otwarte, szepnął coś Flemmingowi na ucho i generał zwawo poszedł do progu. Cichym głosem zawołał na Zaklikę aby szedł za nim i uprowadził go z sobą do odosobnionego gabinetu... Tu cicho było i spokojnie, na stole papierów pełno. Młody człowiek pochylony nad nimi, pisał coś szybko... Flemming wciągnął Zaklikę w ciemny kąt gabinetu, Hiszpan poszedł za nimi.

– Kiedy rzuciłeś służbę u Cosel? – zapytał.

– Kilka dni temu.

– Cóż myślała?

– Urządzała się w Pillnitz...

– I siedzieć myśli? – zapytał Flemming.

– Ja sędzę...

Patrzyli na siebie z Hiszpanem i potrząśli głowami.

– Jakżeś się z nią rozstał...?

Zaklika zmiarkował że obudzając zaufanie, o czémś potrzebném będzie się mógł dowiedzieć.

– Zostałem wypędzony – rzekł – bo tam teraz mało sług potrzeba.

– A znasz dobrze Pillnitz, ludzi i drogi?

– Doskonale.

– I przyjąłbyś służbę inną?

– Czemuż nie?

– Choćby, choćby – dodał Flemming – wymagała, żebyś przeciw dawnej swój pani wystąpił.

– Ja nie mam pani ani pana, oprócz króla JMości – odparł Zaklika – bom przecie szlachcic polski.

Flemming poklepał go po ramieniu śmiejąc się do rozpuku.

– Za dwa dni przyjdź do mnie! rozumiesz? – rzekł cicho...

– Rozumiém – szepnął Zaklika...

Flemming chciał mu coś dać, ale Rajmund się cofnął z ukłonem.

I tak się rozstali.

Zaklika zyskał na tém pewność, iż dwa dni bezpiecznych miał przed sobą; przez dwa dni można było uczynić wiele, można się było uratować.

Z tąd wyszedłszy lepiej się otulił płaszczem, zajrzał do miejsc kilku, pomówił z kilką poufałymi, na przedmieściu zapukał do jakiejś chaty i tak zmarudziwszy do późnej nocy, siadł na czółno, opatrzywszy się dwoma wiosłami, i pod wodę z całych sił robiąc niemi, puścił się nazad do Pillnitz.

## IV

Między innymi wiadomościami, które Zaklika mógł zaciągnąć była i ta, że nazajutrz znowu maskarada wenecka na starym rynku miała się odbywać. Nie było dnia bez koncertu, bez opery, baletu, tańców i wieczerzy i jakiegoś widowiska... Ponieważ pani Denhoffowa i hetmanowa Pocijowa i matka ich marszałkowa Bielińska, wszystkie bardzo lubiły muzykę i śpiewały arye włoskie... opera najczęściej je do pół wieczora zajmowała. Sprowadzani z Włoch muzycy, śpiewacy, kompozytorowie dobrani byli tak, że kosztowny ten teatr był może jednym z najdoskonalszych w Europie. Muzykę pisał Lotti, koncerta grywał Tartini, Santa Stella występowała jako prima donna, Durastanti zwała się hrabiną sopranistek, Senesino, Berselli ściągnięci byli pańską zapłatą do Drezna. Aldrovandini malował dekoracje, Bach dyrygował muzyką.

Z równym staraniem urządzony był balet, a potem komedia francuzka.

Nie zbywało więc na rozrywkach. Sam król wśród tych maskarad i redut, często zamaskowany i przebrany występował, lubiąc niespodziane przygody i znosząc nawet chętnie ich nieprzyjemności dla zabawy, jaką mu nastęczały. Na dzień następny naznaczoną była wenecka maskarada z jarmarkiem... Denhoffowa miała być jedną z gospodyń, marszałkowa i pani Pocijowa także... Król rozesał rozkazy, aby mu się kto żyw stawił, i żeby na placu było tłumno. W nocy już zaczęto przygotowania, gdyż nic wówczas nie kosztowało spędzić tysiące ludzi ze wsi pobliskich i przerwać im najpilniejsze prace dla kaprysu pańskiego, któremu wszystko służyć musiało.

Przybywszy o mroku do Pillnitz i uwiązawszy czółno na swém miejscu, Zaklika znalazł jeszcze cały dwór uśpionym i niepostrzeżony wkradł się do swjej izby, oczekując w niej, iżby się pani obudziła...

Nie było chwili do stracenia: zaledwie się okna otwarły, przeszedł się przed nimi razy kilka, ażeby hrabinę z domu wywołać, rozmowa bowiem w pokojach była niebezpieczną. Hrabina zobaczywszy go, wyszła zaraz i znalazła się u brzegu Elby.

Zaklika zdał jej szczegółową sprawę ze wszystkiego, a najpierw ze swjej rozmowy z Lehmannem. Zdawało mu się i niemożnością i niebezpieczeństwem zabierać z sobą klejnoty i pieniądze, chciał więc je o białym dniu, coby najmniej obudzało podejrzeń, jako rzeczy przeznaczone dla dzieci hrabinęj zawieźć do Drezna tak, aby mógł wcześniej nazad powrócić. Ciężkie kufarki i szkatuły, w innym razie byłyby wymagały kilku ludzi do dźwigania, siła nadzwyczajna Zakliki pozwalała mu podołać im samemu, nie obudzając podejrzeń.

Hrabina godziła się na wszystko... Konie przez Zaklikę zgodzone, miały na nią czekać w lesie u brzegu Elby o mroku. W domu urządzić chciał Zaklika tak, ażeby się jak najdłużej odjazdu hrabinęj nie domyślano. Przepręgi na pocztach miały być pozamawiane i była nadzieja, że nim do Drezna dojdzie o ucieczkę wiadomość, nim pogoń się puści, Cosel będzie już na ziemi pruskiej, gdzie jej, jak się spodziewała, ścigać nie zechcą.

Z wielką przytomnością umysłu, zabezpieczone wszelkie drogi do ucieczki, zdawały się zapewniać, iż hrabina dogonioną nie będzie. Zaklika się już cieszył, gdy Cosel oświadczyła mu, że przejeżdżając przez Drezno, na maskaradowy plac wstąpić musi...

Słyszając to oniemiał Zaklika i pobladał.

– To być nie może – zawołał – to dobrowolne rzucenie się w paszczę! Pani będziesz poznana... a wówczas...

Cosel potrząsała głową.

– Chcę – rzekła – i tak być musi. Znasz mnie waćpan, że mam wolę żelazną, że jestem upartą, że nie odstępuję od tego, co raz postanowiłam. Muszę go widzieć, muszę ją widzieć; to nie fantazya, to potrzeba: to lekarstwo. Chcę spojrzeć na nich, aby stracić tęsknotę, a nabrać obrzydzenia do tego człowieka, którego kochałam i Kocham.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.